

Roman Graczyk: „Teologia Polityczna” czyli pochwala niepoprawności

„Teologia Polityczna” jest ważną instytucją w polskim pejzażu intelektualnym



„Teologia Polityczna” jest ważną instytucją w polskim pejzażu intelektualnym

Kiedy w 2003 r. dostałem pocztą pierwszy numer „Teologii Politycznej” zareagowałem z zaciekawieniem, ale i – nie ma co ukrywać – z pewną nieufnością. Przesłano mi go jako – wtedy – publicyście „Gazety Wyborczej”, zapewne licząc na wzmiankę, recenzję lub polemikę. Nie

sądę, żeby twórcy „Teologii” spodziewali się wtedy ode mnie pochwały, więc ta ich gotowość do wystawienia się „na strzał” spodobała mi się.

Pierwszy numer („Sprawiedliwość, miłosierdzie, zdrada”) był poświęcony problemom rozliczania przeszłości - w oczywisty sposób głównie przeszłości komunistycznej, w tym szczególnie polskiego komunizmu. Wtedy, kilka lat po powstaniu IPN-u, w okresie pierwszych spektakularnych ujawnień związków z komunistyczną policją polityczną ludzi zajmujących ważne miejsce w polskiej kulturze, nauce czy Kościele, był to temat gorący. W tym numerze „TP” ukazały się między innymi teksty Zdzisława Krasnodębskiego, Bronisława Wildsteina – o tzw. lustracji (piszę „tzw.”, bo nie zadbano wtedy, by utrwalić w języku polskim rozróżnienie na urzędową „lustrację” i badanie akt UB/SB przez historyków, które jest czymś innym – i tak już, niestety, zostało) i krytyczny tekst Jarosława Gowina o stosunku ks. Tischnera do dekomunizacji.

Nie napisałem recenzji z tego numeru „Teologii Politycznej” do „Gazety Wyborczej” i dzisiaj trochę żałuję. Nie byłem już wtedy przeciwnikiem lustracji. Wyleczyłem się z tej iluzji bardzo łatwo: po prostu czytając o sprawach, które zostały przez „autorytety moralne” uznane za raz na zawsze ocenione i zamknięte. W supozycjach w rodzaju (nie należy się tym interesować, a wszyscy pomówieni o współpracę, są tak naprawdę ofiarami najpierw SB, a teraz lustratorów-nienawistników) dostrzegłem jakąś nerwowość i nieszczerłość.

Dlatego wbrew tego typu sugestiom zacząłem się tym interesować i doszedłem do wniosków zupełnie odwrotnych. Lustracja (zarówno ta urzędowa jak i ta szerzej rozumiana) jest częścią normalnego i potrzebnego każdej społeczności procesu przywracania pamięci. Trzeba tylko robić ją kompetentnie.

Parę lat później sam zacząłem badać akta SB, napisałem książkę, potem drugą. Szczególnie ta druga książka zbliżyła mnie do ludzi „Teologii Politycznej” – o tym poniżej. W każdym razie recenzji z pierwszego numeru nie napisałem i żałuję, bo wtedy prawdopodobnie wcześniej, niż to się realnie stało, (w 2005 r.) rozstałbym się z „Gazetą Wyborczą”. Lenistwo kosztuje.

W porę i nie w porę

„Teologię” obserwowałem z pewnego oddalenia. Ale nawet z takiego punktu obserwacyjnego trudno było nie dostrzec, że jest to instytucja (rocznik filozoficzny, portal, kluby „TP”, w końcu środowisko) ważna w polskim pejzażu intelektualnym. Jest ważna, bo ma poglądy, bo te poglądy zwykle idą pod włos dominującym przekonaniom, no i nie obawia się ich głosić „w porę i nie w porę”.

Tak było jeszcze u pra-początków „Teologii”, gdy w 2000 r. Fundacja Świętego Mikołaja urządziła na Zamku Królewskim wystawę „Bohaterowie naszej wolności” oraz – co było może ważniejsze – akcją billboardową w Polsce pod tym samym tytułem. W tej wystawie i w tej akcji chodziło o podkreślenie (poprzez ekspozycję portretowych

fotografii weteranów z czasów wojny, okupacji i podziemia niepodległościowego) ciągłości pokoleń i ciągłości wartości patriotycznych mimo to, że z młodymi pokoleniami Historia obeszła się łaskawiej, niż z owymi weteranami.

Wtedy z gwałtowną polemiką wobec tego rodzaju myślenia wystąpiła na łamach „Tygodnika Powszechnego” Magdalena Środa. Uczestniczyłem w dyskusji na ten temat, z Bronisławem Wildsteinem, Zbigniewem Nosowskim i Dariuszem Karłowiczem. Magdalena Środa nie dojechała, a ja (zaproszony tam jako publicysta „Wyborczej”), zapewne ku niejakiemu rozczarowaniu organizatorów, nie wsparłem jej stanowiska głoszącego, że to jest „patriotyzm zmilitaryzowany” – chyba jakoś tak to brzmiało. To prawda, że wedle powszechnej opinii wyrażonej w badaniach socjologicznych, patriotyzm promowany przez „Bohaterów naszej wolności” stawał się już wtedy przebrzmiały, nienowoczesny. Ale bez wątpliwości przyczyniały się do tego media Polski „oświeconej”, „nowoczesnej”, i „europejskiej”. Ludzie związani z Fundacją Świętego Mikołaja (to oni później utworzyli „Teologię Polityczną”) uznali, że muszą wystąpić z medialną kontrofensywą, sprzeciwić się modzie traktującej tradycyjny patriotyzm jako obciach.

Gdy po zdobyciu prezydentury przez Lecha Kaczyńskiego środowisko „Teologii Politycznej” stało się jego intelektualnym zapleczem, a Marek Cichocki doradcą do spraw Unii Europejskiej. Nie byłem wtedy zwolennikiem polityki „pierwiastka”, i do dzisiaj nie jestem - uważam, że o polską podmiotowość w Unii trzeba zabiegać inaczej. Ale z całą pewnością to było stanowisko koherentne i oparte o solidne

przemyslenie podstaw ideowych Unii Europejskiej. Kluczowe dla stanowiska „Teologii Politycznej” są tu dwa pojęcia: dziedzictwo Europy i podmiotowość Polski.

Dziedzictwo Europy jest (za Rémi Brague’em) rzymskie, to znaczy Europa o tyle jest sobą, o ile umie przyswajać wartości wielkich cywilizacji, tak jak w czasach rzymskich przyswoiła wartości Aten i Jerozolimy. Tak jak chrześcijaństwo nie mogło pójść za pokusą Marcjona i wyprzeć się dziedzictwa judaizmu, tak Europa nie może wyprzeć się dziedzictwa Jerozolimy, Aten i Rzymu. Na dziś znaczy to tyle, że Unia Europejska nie może, kłaniając się ideom wielokulturowości, nie pamiętać o swoich korzeniach, które są w głównej mierze chrześcijańskie, czy się to komuś podoba, czy nie.

Podmiotowość Polski to ambicja, by w dzisiejszych czasach, które obiektywnie redukują rolę państwa czy to w gospodarce (globalizacja), czy to w polityce (procesy integracyjne np. takie jak w ramach Unii Europejskiej), jednak postawić na decyzyjność Państwa Polskiego, na jego udział w tworzeniu europejskiej i światowej przyszłości. Tej kwestii był poświęcony numer 5. „Teologii Politycznej” („Złoty róg, czyli nieodzyskana podmiotowość”). Tu też się z kolegami z „Teologii Politycznej” spieram, ale nie o kwestie fundamentalne. Uważam wprawdzie, że takiej ambicji Polska po prostu nie może się wyrzec, ale zarazem szukałbym szansy na jej realizację raczej w ramach struktur ponadnarodowych, do których szczęśliwie od kilku-kilkunastu lat przynależymy, niż poza nimi. To prawda, że nie było żadnego „końca Historii” ani w 1989 r., ani w 1999, gdy przystąpiliśmy do NATO, ani też z chwilą naszego wejścia do UE w roku 2004. Ale nie kontentując się samą przynależnością do tych struktur i unikając zgubnej wiary w ich samowystarczalność dla zabezpieczenia polskich interesów, trzeba

wykorzystywać je jako narzędzie tych interesów. Nie negując istnienia (przynajmniej w niektórych sprawach) wspólnego interesu Zachodu (NATO, Unii Europejskiej), trzeba zabiegać, głównie budując silną gospodarkę o to, żeby polski głos w tych gremiach zaczął być słyszalny.

Skromne słowo: przyzwoitość

Tak też było (tzn. pod włos) w sporze o lustrację, zarówno w tym pierwszym, gorącym okresie w połowie lat 2000, jak i później po ukazaniu się mojej książki o inwigilacji środowiska „Tygodnika Powszechnego” przez Służbę Bezpieczeństwa (*Cena przetrwania? (...)*, Warszawa 2011). Książka przeszkadzała wielu możliwym tego kraju i była na wiele sposobów tępiąca, tym bardziej więc doceniam te środowiska, które nie przyłączyły się do nagonki. Przyzwoitość – tak wydawałoby się – minimalistyczny postulat w odniesieniu do życia publicznego, a tak bardzo go w tym wypadku zabrakło. Tym bardziej więc mam specjalny tytuł, żeby podkreślić że „TP” (czytaj: „Teologia Polityczna”), obok kilku innych środowisk, zachowało się tak, jak nakazuje ta elementarna reguła.

Po katastrofie smoleńskiej na prawicy zaczęły się ruchy, które przyniosły trochę złej krwi. Bogu dzięki, nie uczestniczyłem w tym. Nastąpiła pewna dekompozycja polityczna, związana najpierw z tym, że „Teologia Polityczna” poparła inicjatywę pod nazwą Polska Jest Najważniejsza, a potem z publicznymi sporami ojców-założycieli „Teologii” (Marka A. Cichockiego i Dariusza Karłowicza) z PiS-em i z samym Jarosławem Kaczyńskim. Nie wdając się w ten spór i zresztą nie znając dobrze jego szczegółów powiem tyle: różnica zdań jest zawsze

uprawniona, polska prawica zyskałaby na tym, gdyby sobie przyswoiła kulturę różnienia się. Dopóki tak się nie stanie, wszelkie podziały będą się odbywać w atmosferze podejrzliwości i wykluczania. No więc szkoda, że na razie kultura różnienia się jakoś szczególnie tu nie wzrasta.

„Teologia Polityczna” jest – jak napisałem – ważną instytucją w polskim pejzażu intelektualnym. Nie napisałem chyba jeszcze, dlaczego. Bo to wszystko prawda, że ma poglądy, że te poglądy idą pod włos i że są głoszone, nawet gdy to coś kosztuje. Ale trzeba by jeszcze dodać, że te poglądy mają rangę.

Mają rangę z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że analizują politykę z szerszej (filozoficznej i teologicznej) perspektywy. Po drugie dlatego, że mają (za Carlem Schmittem) ambicję wykreowania „polityczności” w świecie post-politycznym. Mają ambicję przeciwstawić się „polityce-narracji”, a w to miejsce postawić coś, czym zawsze polityka była: zmianę. A tylko tak, wierząc w zmianę, można znowu uwierzyć w sens uprawiania polityki.

Roman Graczyk

Tekst ukazał się w tygodniku "W Sieci"